

O Delegaturze Katowice – dlaczego tak?

Aby opowiedzieć historii śląskiego oddziału ELWRO można do tego podejść w dwojaki sposób. Podać nazwiska, imiona, krótkie życiorysy, dane personalne czy charakterystyki osób tam pracujących - albo posłużyć się pewnymi faktami, skojarzeniami, przypomnieć je i odnieść do ogólnie znanych sytuacji tamtej epoki.

Wybierając pierwszą opcję praktycznie opisujemy tych kilka osób, ale gubimy po drodze to, co inaczej określało dawne lata, wydarzenia - relacje koleżeńskie, wreszcie nas samych.

Oddaleni od Wrocławia, też tworzyliśmy historię Zakładu.

Dzisiaj znamy ją wszyscy, bo chociaż ELWRO już nie ma, nam pozostały wspomnienia, emocje i świadomość, że doświadczenia tamte były źródłem naszych osobistych przemian, okazją do podejmowania ważnych decyzji, wyciągania wniosków na przyszłość, własną albo potomnych.

Rozpoczynając tę opowieść, pozwalałam sobie zatem wybrać tę drugą alternatywę, bez podawania nazwisk, personaliów, życiorysów. Śląscy elwrowcy bez trudu przypomną sobie tamten okres, zobaczą siebie w tym opisie, a inni też znajdą w tym coś osobistego.

Pragnę napisać o ludziach stamtąd, miejscu, gdzie żyliśmy i pracowali, o nas, których postawy, zachowania, nawet pewna filozofia życia – kształtowało w znacznym stopniu ELWRO.

Przedstawiając losy Delegatury zacząć wypada od pierwszego jej adresu – czyli ul. Przejazd 3 w Sosnowcu.

Już sama nazwa ulicy narzuca pewne skojarzenie, a to dlatego, że jej długość jest taka, jak szerokość zwykłego, typowego przejazdu kolejowego, natomiast 3 - najwyższym na niej numerem.

W jednym z tych domów, tak starych, że pamiętały jeszcze carskie czasy, miało swą pierwszą siedzibę Śląskie ELWRO, a najładniejszym elementem na całej ulicy był właśnie nasz sztyld. Oddział zajmował trzy pomieszczenia, w sumie wielkości małego mieszkania, i tam znalazły się: pokój dla licznej załogi (aż pięciu osób), magazyn części, warsztat, biuro i wszelkie inne „apartamenty” niezbędne do funkcjonowania Delegatury.

W tych niezwykle spartanskich warunkach przeżyliśmy kilka lat.

Przyjęło się powszechnie, że całe województwo katowickie – to Śląsk, tymczasem zaczynał się on dopiero kilka km dalej na południe, w dzielnicy Katowic – Szopienicach. Tam właśnie zbiegały się wszystkie granice dawnych zaborów – rosyjskiego, czyli Zagłębia, niemieckiego – właśnie Śląska i austriackiego – Galicji.

Stacja kolejowa Katowice-Szopienice była węzłem, z którego rozjeżdżały się pociągi do stolic dawniej okupowanych ziem.

W miejscu oddalonym od tego „dworca” zaledwie o kilkadziesiąt metrów, znaleźliśmy swoją kolejną przystan. Był to budynek bardzo charakterystyczny jak na tamto miejsce, z niebieskiego szkła, znanej na Śląsku firmy METEKON, przy ulicy Krakowskiej 133.

Biurowiec był nowy, świeżo oddany do użytku, mieniący się w słońcu wieloma kolorami, w których dominował błękit. Tylko tego słońca nie było zbyt dużo, bo tam miało ono spore trudności z przebicciem się przez przemysłowe smogi, sadze, chmury zanieczyszczeń i inne dodatki do powietrza, z którymi płuca miejscowych ludzi świetnie dawały sobie radę.

Oddychaliśmy pełną piersią i cała tablica Mendelejewa, z tą tylko różnicą, że w każdym miejscu innymi proporcjami, po czym zresztą z łatwością można było rozpoznawać, gdzie jesteśmy.

Zostaliśmy jednak niezwykle uszczęśliwieni, miejsca otrzymaliśmy niewyobrażalną ilość, przynajmniej kilka razy więcej niż w Sosnowcu. Przestrzeń, luksusy, rozmach w jednym skrzydle, na parterze. Cenił się sobie przyjazny właściciel, życzliwość, oddanie i bezinteresowność (na pierwszym piętrze miał on spory osrodek obliczeniowy, a w nim zainstalowane 3 zestawy ODRY 1305).

Tam właśnie Delegatura przetrwała do końca swoich dni. Wtedy nikt nie przypuszczał, że taki czas może kiedyś nadejść, że okaże się to jednak realne.

Jak trafialiśmy do ELWRO.

Lata 70 te, to czas wielkich przemian, zwłaszcza na Śląsku. Powstawały najsłynniejsze „bastiony socjalizmu” – Huta Katowice, Fabryka Małego Fiata, (a właściwie dwie, bo w Bielsku-Białej i Tychach), rozbudowywano i modernizowano niemal wszystko, huty - metali żelaznych i nieżelaznych, kopalnie, koksownie, fabryki, co się dawało i co stało na drodze. To wszystko potrzebowało rąk do pracy, a one musiały gdzieś mieszkać. Budowano słynne sypialnie-blokowiska, wszystkie jednakowe, wg tego samego projektu, z tych samych materiałów (najczęściej wielkiej płyty), lokalizowane od początków Zagłębia, po najdalej położone rubieże Śląska.

Region stał się największym „odkurzaczem”, wciągał wszystko i wszystkich, każdy był potrzebny, a zwłaszcza fachowcy. Ich kusząco najbardziej: wysokimi zarobkami, mieszkaniami, awansami zawodowymi i społecznymi. Gdzie nam stawac w szranki z takimi gigantami?

Oczywiście odbiło się to niekorzystnie na Delegaturze. My mogliśmy zaoferować tylko ciekawą pracę i bardzo jej dużo, w nieograniczonych wprost ilościach.

System był tak zorganizowany, że ośrodki obliczeniowe (których powstawało coraz więcej), posiadały własne zespoły techniczne, niejednokrotnie zatrudniające wspaniałych fachowców, ale oni pracowali tylko wtedy, kiedy maszyna nie działała, albo wypadła konserwacja zestawu. Zatem znaczna część czasu spędzali na czekaniu, nudzie, tzw. legalnym objaniu się.

Nie kazdemu ten układ odpowiadał. Więc jedynie na takich mogliśmy liczyć. Dodatkowa poważna zaporą była postawa pracodawcy, który robił wszystko, aby utrudnić ewentualne transfery do ELWRO. Czasami kończyło się to sukcesem, pokatnym handlem, gdzie z naszej strony cena była trudnodostępne części, przeważnie tace młotków do drukarek albo sprzęgła. Teraz to się nazywają negocjacje. Pewne terminy zmieniły znaczenie, dawni „spekulanci” dzisiaj stali się handlowcami, biznesmenami, ludźmi sukcesu.

Innym źródłem powiększania kadry Delegatury były sprawy losowe elwrowców z innych oddziałów, a najczęściej z Centrali.

Zdarzały się miłości, w kosekwencji małżeństwa, czasami sprawy spadkowe, albo coś bardzo prywatnego.

Przywiązanie tych osób do firmy było tak silne, że mimo innych atrakcyjnych możliwości pozostawali przy ELWRO. Coś w tym musiało być, jakaś wartość duchowa, niematerialna, albo szczególne osobiste powody takich decyzji.

Sami tworzyliśmy atmosferę pracy, decydowali jak najlepiej ją wykonywać, w jaki sposób spędzać znacząca część swojego życia, a to najbardziej wpływało na chęć do działania.

Widocznie najcenniejsze i najwspanialsze jest to, co zbuduje się samemu.

Szkoda, że o tym często dowiadujemy się zbyt późno, kiedy coś zginęło, zostało stracone, wtedy żal jest wyjątkowo silny i dotkliwy.

Czy byliśmy innymi ludźmi?

Zastanawiamy się nieraz, czy „elwrowcy” to inni ludzie. Uważam, że zdecydowanie tak.

Wszyscy prowadzili tulaczo-podróznicze życie, nie zdając sobie wtedy sprawy z tego, jaka kiedyś okaże się ona wartość.

Wyjazdy, małe czy duże, były zawsze podróżami, praca u nowego użytkownika, to jak zaczynanie czegoś od początku.

Kiedy serwisant stał przy uszkodzonej maszynie, jego zajęcie nie polegało tylko na zmaganiu się z awarią, szukaniu jej przyczyny, wreszcie naprawie - ale to był rodzaj misji społecznej. Może to zabrzmie dziwnie, nawet patetycznie, ale tak było. Zawsze w sąsiednim pokoju na finał jego pracy czekali inni, z niecierpliwością, pewnym podekscytowaniem, nadzieją. To byli operatorzy, którym uszkodzenie przerwało wykonywane zadania, nieraz bardzo ważnego i długiego, byli programiści, których pozbawiono zaplanowanego dostępu do sprzętu, byli też klienci, dla których wstrzymano obliczenia, a także wiele innych osób.

Wszyscy patrzyli na elwrowca, kiedy wreszcie uzdrowi to чудо, od którego tak wiele zależy.

Byliśmy właściwie wszystkim, lekarzami, treserami, majstrami w różnych dziedzinach, ludźmi od wszystkiego.

Stawaliśmy się przez to psychologami, socjologami, kimś, o czym wtedy nie mieliśmy sami pojęcia.

Spotykanie każdego dnia innych ludzi siła rzeczy otwierało nas na różne sprawy społeczne, stawaliśmy się w pewnym sensie internacjonalami czy kosmopolitami, nie mając jeszcze o tym pojęcia.

To później nastawała era globalizacji, a my nieswiadomi tego, jakas niewidzialna siła pierwsi byliśmy w to wciągani.

Świat zaczął się kurczyć, maleć. Wielu z nas nie znając innego języka musiało się porozumiewać z ludźmi „bratnich krajów”.

Nieraz oczywiście pomagały w tym lokalne „wzmacniacze” (w Czechosłowacji ich słynne piwo, w Jugosławii – rakija, Rosji – koniak, na Węgrzech - tokaj), bo one do tego celu nadawały się najlepiej.

Tak wyglądały początki tego, co za wiele lat później miało nastąpić. Wtedy byliśmy inni, stawaliśmy się innymi.

Późniejsze życie jednym uświadomiło to bardzo wyraźnie, innym może mniej, ale tak było.

Kiedy poznawaliśmy coś nowego, takiego zwyczajnego, gdzieś tam w świecie działającego jak zwykła rzecz, przy bardziej wnikliwym zagłębieniu się w sprawę, okazywało się często, że mieliśmy z tym już kiedyś do czynienia w dawnej, elwrowskiej przeszłości..

Serwisanci zazwyczaj najmniej czasu spędzali w domach, wracając na chwilę z delegacji: kilkudniowych, kilkutygodniowych, czy nawet dłuższych.

To też świadczyło o ich inności.

My byliśmy w trochę lepszej sytuacji.

Specyfika Delegatury Katowickiej polegała na tym, że można było wracać do domu częściej, nieraz późnym wieczorem czy nocą, albo na drugi dzień, ale wracać. Przeciętne odległości wynosiły kilkanaście km, więc pokonywało się je dość szybko.

Dziury w ziemi

Każda nowa, zwykle gigantyczna fabryka musiała mieć własny Ośrodek Obliczeniowy, a najlepiej jak nazywał się on Centrum Komputerowym. To było niezbędne z różnych powodów, najczęściej propagandowych i politycznych.

ELWRO poruszało się między tymi molochami jak duch – niewidzialny, niezauważalny, ale jakos tam istniejący.

To innym stawiano pomniki, znani twórcy sławili ich wielkość i wspaniałość, nam wyznaczano miejsce z boku, gdzieś w cieniu, jakims ukryciu.

Najbardziej liczył się komputer, bo to on pokazywał „klasie robotniczej” w jak nowoczesnych zakładach pracuje.

Ośrodki obliczeniowe, przeważnie w kopalniach, ściany miały wykonane ze szkła i aluminium, aby ludzie ciężkiej pracy widzieli, że tam właśnie w blasku migających światełek, krecących się przewijaków wyliczane są ich pensje, nagrody, zanotowana zostanie każda minuta ich ciężkiej pracy, aby mieli pewność, że nikt nie zostanie oszukany, bo maszyna nigdy się nie myli.

Lokalizowano je tak, żeby sasiadowały z sercem kopalni, tzw. markownia. Tam gornicy przed każdym zjazdem do podziemia, dostawali: kaski, lampy gornicze z podładowanymi akumulatorami, wreszcie „marki”, czyli identyfikatory. Czekać na swoją kolej do windy napawali się widokiem pracujących komputerów. Każdy chciał być bliżej szyby, mieć lepszy widok, aby za chwilę w doskonałym nastroju zacząć „fedrować”. Szczególny rodzaj pijarowskich działań tamtego czasu.

Spędziłem na Śląsku i Zagłębiu kilkanaście lat. Pozwoliło mi to poznać ich mieszkańców, to bardzo cenne doświadczenie, o którego znaczeniu mogłem się przekonać później, w okolicznościach, których nie sposób było wówczas przewidzieć.

Mam wielki szacunek do ludzi tamtego regionu, zarówno Ślązaków jak i Zagłębiaków.

Oni sami dość zantagonizowani, reprezentowali sobą pewne różnice kulturowe, obyczajowe, nawet językowe (mam tutaj na myśli gwary śląską, która początkowo dla takich przyjezdnych jak ja była niezrozumiała).

Jednak ich postawy etyczne, moralne, pewna surowość zasad, solidność i przywiązanie do tradycji były ukształtowane przez warunki życia, a przede wszystkim pracy.

Zona gornika nigdy nie mogła mieć pewności, że jej mąż wychodzący do kopalni wróci żywy i zdrowy.

Strach, pokora, poczucie więzi międzyludzkich – były to cechy konieczne do życia w tych nieznanym innym warunkach zwykłej egzystencji.

Przybysze, przez Ślązaków nazywani „gorolami”, musieli się tego uczyć, bacznie obserwować i rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. To były ciekawe lekcje i wyjątkowa szkoła życia. Społeczność tamtego regionu była dość hermetyczna, z pewnym trudem prawdziwie akceptowała innych. Nie sposób poznać przyczyny takiego stanu, ale sądzę, że miały tu znaczenie pewne zaszłości historyczne, a także polityka tamtego okresu. Wtedy Śląsk i Zagłębie dostarczały energii i dewiz, potrzeba tego było najwięcej i chociaż pracowano po 7 dni w tygodniu, ciągle było mało.

Za zarobione pieniądze w święta, wolne soboty, niedziele, gornicy mogli sobie kupować dobra powszechnie niedostępne: telewizory kolorowe, pralki, lodówki, inne wyszukane sprzęty, które bywały tylko w „pewexach”.

Przez te właśnie „przywileje”, stosunek do całego Śląska był dyktowany zazdrością, nieprzychylnością a nawet wrogością. Mało kto jednak rozumiał, że gornik płacił za to wyjątkową cenę - własnego zdrowia, wyniszczania organizmu, katorżniczą pracę bez wytchnienia w niezwykle trudnych warunkach!

Patrzeć na to jeszcze inaczej, czas dodatkowo przepracowany to prawie połowa tego obowiązującego, a także o tyle zwiększone ryzyko, że można już na powierzchni żywym nie wyjść.

Jakos idee i pomysły rządzących a dobro człowieka stały się od siebie oddalane.

Skutki tego przetrwały do dzisiaj i pewnie będą jeszcze długo istnieć, jak łatwo to zauważyć.

Im więcej wydobywano węgla, tym większe pozostawiano dziury pod ziemią. Samo zasypywanie ich piaskiem, zalewanie wodą, było tylko półśrodkiem - po wielu latach przychodziło się zmierzyć ze skutkami. Pomijam już spekania od szkód górniczych domy, które różne służby remontowe lepiej czy gorzej naprawiały, ale były też wydarzenia, które można nazwać kataklizmami. Jeśli w Bytomiu zapadały się całe kompleksy domów, zamieniając je w ruiny, jak po tsunami, to inaczej tego nazwać nie sposób. Ludzie w jednej chwili tracili wszystko, cały dobytek, a często życie.

Jeśli wybudowana autostrada pomiędzy Chorzowem a Mysłowicami niedługo po oddaniu jej do użytku zapadła się o kilka metrów, to coś z tym wszystkim nie było tak, jak być powinno.

Mielismy już być drugą Japonią, później Irlandią, jest ciągle mnóstwo ciekawych krajów, których jeszcze nie nasładowaliśmy. Może warto pomyśleć o Australii?

Tutaj też takie problemy występują, po działaniach górniczych pozostają dziury w ziemi, ale w nich wybudowano miasto. Nazywa się ono **Cooper Pedy** i jest światową stolicą opali. Praktyczni Australijczycy doszli do wniosku, że w tym terenie, gdzie temperatury dochodzą czasami do 50 st.C miasto zlokalizowane pod ziemią jest czystym zyskiem. Wypełnia ta wielka dziura w ziemi, ale też pozwala na utrzymywanie w miarę stałej temperatury, zarówno w lecie (miesiące listopad – marzec), jak i w zimie (maj – wrzesień). Więc oszczędność na klimatyzacji. Takie rozwiązanie nie oznacza, że domy podziemne są pozbawione światła dziennego, a ludzie żyją jak krety, ono jest, ale dostaje się przez szklane dachy.

Warto przy tym dodać, że człowiek, jako organizm stałocieplny, praktycznie może żyć w temperaturach niższych niż jego ciało, tam takich warunków nie ma, więc trzeba je stworzyć, i to zrobiono, ludzie zeszli do podziemi.

Sami górnicy „opalowi”, a takim może zostać każdy, kto jest tylko obywatelem tego kraju i ma skończony kilkugodzinny kurs, mają prawo do otrzymania działki 50m x 50m, albo 50 x 100 za darmo. Wtedy proszę bardzo, kop sobie tam przyjaciela, wydobywaj opale, co wykopiesz – to twoje, nikt ci tego nie będzie sprawdzał, liczył, czegoś zakazywał, zabraniał - podatek zapłacisz później i tylko od tego coś sprzedasz. A wiedza górnicza zdobyta na kursie jest Ci potrzebna do tego, abyś bezpiecznie mógł budować swoją kopalnię, aby nic nie zawaliło ci się na głowę.

Odbiegłem trochę od tematu, ale wspomnienia o Delagaturze i Śląsku jakos same nasunęły takie myśli, porównania, skojarzenia - mimo, że już sporo lat minęło od czasu ich opuszczenia i wyjazdu na drugi koniec świata.

Spacer wzdłuż domu.

Chcesz żyć pełnią życia – wyjeżdżaj, podróżuj, także wtedy, kiedy masz wszystko i wszystkim przeciwko sobie, później jest do czego wracać, nawet, jeśli tylko pamięć. Wielu z nas kierowało się tą dewizą, której początki powstawały w ELWRO.

Zwiedzanie świata uczy nas jeszcze czegoś, pewnej odwagi i odporności na stresy, przeciwności losu, ewentualne osmieszenie, nawet, jeśli mamy do powiedzenia coś, co trudno jest innym zaakceptować.

Kiedy jesteśmy daleko, najmniejszy szczegół w pamięci wzbudza emocje. Doskonale pamiętam przypadek, kiedy w Papui-Nowej Gwinei jeden z misjonarzy po powrocie z Polski, podarował mi kasety z filmem Kazimierza Kutza - „Paciorki jednego rozana”. Sam film, jego fabuła była mi szczególnie bliska, bo to wiecznie żywy obraz Śląska i tamtych czasów.

Jego treść można opowiedzieć jednym zdaniem, są tu pokazane wyjątkowe, zgodne ze śląską tradycją relacje międzypokoleniowe, które chronią całą rodzinę przed nieszczęściami, agresją, nawet upadkiem. Zwykle ludzkie sprawy, dotyczące każdego.

Ale jedna scena wywołała moje szczególne wzruszenie, kiedy główny bohater, sędziwy gornik, Karol Habryka, w galowym mundurze, w czapce z pioropuszem, idzie zwrócić przydział na nowe mieszkanie – wielkie marzenie innych.

To jego protest na próbę siłowego organizowania Ślązakom życia w „betonowych szufladach”.

Zwyczajna scena, ale dla mnie jednak szczególnie poruszająca, bo przechodzi on obok wspomnianego już wcześniej budynku, w którym była Delegatura.

Dzisiaj już wiem, dlaczego w filmie znalazły się Szopienice i ten właśnie fragment. To miejsce urodzin reżysera, widocznie dla niego samego tak ważne, jak później okazało się katowickie ELWRO dla mnie.

Ja tamta drogę przemierzałem codziennie, przez całe lata, teraz zobaczyłem ją jakby z innej perspektywy. Inaczej to widac z drugiego końca świata.

Wiele razy cofałem ten fragment kasety, długo wpatrywałem się w obraz, kawalek niby zwyczajnego biura, ściany budynku, ale dla mnie już zawsze niezwykłego. Nie zapomnę tych emocji, tego szczególnego bicia serca i jakby natychmiastowego powrotu do przeszłości, taka wyjątkowa podróż bez biletu.

Kiedy czytam na stronie ELWRO, że ktoś z zalem pisze o braku jego niezwykłego już ojca czy dziadka na Wielkiej Łące, proszę o umieszczenie Go na niej, odbieram to ze szczególną wdzięcznością.

Bo Zakład żyje, nawet jeśli w pamięci następnych pokoleń, jest to równie ważne, a może ważniejsze, niż w nas samych.

Jest to też świadectwem, że jak w „paciorkach jednego rozanca” dzieje ELWRO nieraz łączy pokolenia, nawet, jeśli przedstawiciele najmłodszego jeszcze nie rozumieją co znaczy ta nazwa, ona kiedyś jednak trafi do ich świadomości. Wśród ogromu innych słów z różnych części świata, poznawanych dzisiaj, jutro i każdego następnego dnia, tak bardzo odległych od siebie języków: angielskiego, mandaryńskiego, polskiego, nawet aborygeńskiego, albo jeszcze innych – znajdzie się ELWRO. Czy będzie to przypadek? Trudne pytanie, ale niech każdy sam w sobie poszuka na nie odpowiedzi.

Andrzej Kinda,

Australia, wrzesień 2012